

E

Castle Rock
dostaje swoją szansę
na odkupienie

STEPHEN KING



Scott Carey zapukał do drzwi mieszkania Boba Ellisa (wszyscy w Highland Acres wciąż nazywali go „doktor Bob”, chociaż od pięciu lat był na emeryturze), a ten zaprosił go do środka.

– No więc jesteś, Scott. Punkt dziesiąta. Co mogę dla ciebie zrobić?

Scott Carey był wielkim facetem, metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu w skarpetkach, z zaczątkiem brzuszka.

– Sam nie wiem. Pewnie to nic, ale... mam problem. Myślę, że niewielki, ale nigdy nie wiadomo.

– I nie chcesz z tym iść do swojego lekarza?

Ellis miał siedemdziesiąt cztery lata, rzadniejące siwe włosy i lekko utykał, co prawie nie spowalniało go na korcie tenisowym. Tam właśnie spotkali się ze Scottem i zaprzyjaźnili. Niezbyt blisko, ale jednak.

– Och, poszedłem – odparł Scott. – I zrobiłem badania, które dawno miałem zrobić. Krew, mocz, prostata, pełny zestaw. Cholesterol trochę podwyższony, ale jesz-

cze w granicach normy. To o cukrzycę się martwiłem. Lekarz, z którym kontaktowałem się przez internet, zasugerował, że mogę ją mieć.

To znaczy dopóki nie dowiedział się o ubraniach. Tej historii z ubraniami nie było na żadnej stronie, medycznej czy innej.

Ellis zaprowadził gościa do salonu z wielkim panoramicznym oknem, wychodzącym na czternasty dołek na zamkniętym osiedlu w Castle Rock, gdzie obecnie mieszkał z żoną. Od czasu do czasu doktor Bob rozgrywał rundkę, głównie jednak trzymał się tenisa. To żona doktora lubiła golf i Scott podejrzewał, że właśnie dlatego mieszkali tutaj, kiedy nie spędzali zimy w równie sportowo nastawionym ośrodku na Florydzie.

– Jeśli rozglądasz się za Myrą, to jest na zebraniu metodystek. Tak mi się zdaje, chociaż może to któryś z miejskich komitetów. Jutro wyjeżdża do Portlandu na spotkanie Towarzystwa Mykologicznego Nowej Anglii. Ta kobieta ciągle gdzieś lata jak kot z pęcherzem. Zdejmij kurtkę, usiądź i powiedz mi, czym się martwisz.

Chociaż dopiero zaczął się październik i było dość ciepło, Scott miał na sobie parkę North Face. Kiedy ją zdjął i położył obok siebie na kanapie, w kieszeniach coś zabrzęczało.

– Napijesz się kawy? Herbaty? Chyba zostały jakieś drożdżówki ze śniadania...

– Tracę na wadze – oznajmił nagle Scott. – Tym się

martwię. Trochę to dziwne, wiesz? Zwykle omijałem wagę łazienkową szerokim łukiem, bo od jakichś dziesięciu lat niezbyt mi się podobało to, co pokazywała. Teraz pierwsza rzecz, jaką robię rano, to stoję na wadze.

Ellis kiwnął głową.

– Rozumiem.

On nie ma powodu, żeby omijać wagę, pomyślał Scott, ten facet to skóra i kości, jak by powiedziała babcia Scotta. Pewnie pożyje jeszcze ze dwadzieścia lat, jeśli nie trafi go grom z jasnego nieba. Może nawet dociągnie do setki.

– Oczywiście znam syndrom omijania wagi, ciągle się z tym spotykałem, kiedy jeszcze prowadziłem praktykę. Widywałem również przeciwieństwo, kompulsywne ważenie się. Zwykle u bulimików i anorektyków. Ty raczej na takiego nie wyglądasz. – Doktor Bob wychylił się do przodu, ściskając dłonie między chudymi udami. – Ale rozumiesz, że jestem na emeryturze, prawda? Mogę udzielać porad, ale nie wypisuję recept. A moja rada pewnie będzie taka, żebyś wrócił do swojego lekarza i wywalil kawe na ławę.

Scott uśmiechnął się.

– Podejrzewam, że mój lekarz zaraz wysłałby mnie na badania do szpitala, a w zeszłym miesiącu trafiła mi się świetna fucha, projektowanie zintegrowanych witryn internetowych dla sieci domów towarowych. Nie będę wchodził w szczegóły, ale to niezła gratka. Miałem szczęście, że się załapałem. To dla mnie wielki krok naprzód

i mogę to robić, nie ruszając się z Castle Rock. Na tym polega piękno ery komputerów.

– Ale nie będziesz mógł pracować, jeśli zachorujesz – powiedział Ellis. – Jesteś bystrym facetem, Scott, i na pewno wiesz, że utrata wagi jest symptomem nie tylko cukrzycy, ale i raka. Między innymi. Ile straciłeś?

– Dwanaście i pół kilo.

Scott wyrzał przez okno i popatrzył na białe wózki golfowe jeżdżące po zielonej trawie pod błękitnym niebem. Taka fotografia dobrze by wyglądała na stronie WWW Highland Acres. Na pewno mają swoją stronę – w tych czasach wszyscy mają, nawet przydrożne stragany sprzedające jabłka i kukurydzę – ale nie on ją stworzył. On zajmował się teraz ważniejszymi rzeczami.

– Jak dotąd – dodał.

Bob Ellis wyszczerzył w uśmiechu zęby, nadal własne.

– Rzeczywiście to sporo, ale moim zdaniem to ci nie zaszkodzi. Na korcie ruszasz się bardzo dobrze jak na takiego wielkiego faceta i sumiennie ćwiczysz na sprzęcie w siłowni, lecz dźwiganie zbyt wielu kilogramów obciąża nie tylko serce, ale i cały organizm. O czym na pewno wiesz. Z internetu. – Przewrócił oczami, a Scott się uśmiechnął. – Ile teraz ważysz?

– Zgadnij.

Bob się roześmiał.

– Co to, konkurs z nagrodami? Właśnie mi się skończyły pluszowe zwierzaki.

– Byłeś lekarzem rodzinnym przez... ile? Trzydzieści pięć lat?

– Czterdzieści dwa.

– Więc nie udawaj skromnego, ważyłeś tysiące pacjentów tysiące razy.

Scott wstał, potężny mężczyzna w dzinsach, flanelowej koszuli i znoszonej czapce Georgia Giants. Wyglądał bardziej na drwala czy kowboja niż na projektanta stron internetowych.

– Zgadnij, ile ważę. Później pogadamy o moim zdrowiu.

Doktor Bob zmierzył profesjonalnym okiem ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów Scotta Careya – w butach raczej sto dziewięćdziesiąt pięć. Zwrócił szczególną uwagę na okrągłą wypukłość brzucha nad paskiem i długie mięśnie ud, rozbudowane przez przysiady i wyćiskanie na suwnicy – ćwiczenia, których on obecnie unikał.

– Rozepnij koszulę i rozchyl.

Scott posłuchał i odsłonił szary podkoszulek z napisem WYDZIAŁ WYCHOWANIA FIZYCZNEGO UNIWERSYTETU MAINE. Bob zobaczył szeroką klatkę piersiową, umięśnioną, ale zaczynającą obrastać złogami tłuszczu, jakie przemądrzałe dzieciaki nazywają „męskimi cyckami”.

– Powiem... – Ellis zawahał się, bo już go wciągnęła ta zabawa. – Powiem: jakieś sto siedem kilo. Może sto

dziesięć. Czyli pewnie ważyłeś ze sto dwadzieścia, zanim zacząłeś chudnąć. Muszę przyznać, że na korcie tenisowym dźwigałeś te kilogramy całkiem sprawnie. Nie zgadłbym, że ważysz aż tyle.

Scott pamiętał, jaki był szczęśliwy, kiedy w tym miesiącu wreszcie zdobył się na odwagę, żeby się zważyć. Wręcz zachwycony. Od tamtego czasu waga spadała w stałym tempie, i to było niepokojące, owszem, ale tylko trochę. To historia z ubraniami zmieniła jego niepokój w strach. Nie potrzeba medycznego portalu, by wiedzieć, że ta sprawa z ubraniami jest więcej niż dziwna, to cholerne kuriozum.

Za oknem przetoczył się wózek golfowy, w którym siedziało dwóch panów w średnim wieku, jeden w różowych spodniach, drugi w zielonych, obaj z nadwagą. Scott pomyślał, że dobrze by im zrobiło, gdyby zrezygnowali z wózka i zrobili rundkę po polu na piechotę.

– Scott? – odezwał się doktor Bob. – Jesteś tu czy odpłynąłeś?

– Jestem, jestem – zapewnił Scott. – Kiedy ostatnio graliśmy w tenisa, naprawdę ważyłem sto osiem. Wiem, bo wtedy wreszcie stanąłem na wadze. Postanowiłem, że czas zrzucić parę kilo. W trzecim secie zaczynało mi brakować tchu. Ale dzisiaj rano ważyłem równą setkę.

Usiadł z powrotem obok swojej parki (która znowu zabrzęczała).

Bob przyjrzał mu się uważnie.

– Nie wyglądasz mi na setkę, Scott. Wybacz, że to mówię, ale wyglądasz na trochę więcej.

– Ale zdrowo?

– Tak.

– Nie jak chory?

– Nie. Przynajmniej nie na pierwszy rzut oka, ale...

– Masz wagę? Na pewno masz. Chodźmy sprawdzić.

Doktor Bob przez chwilę patrzył na Scotta i zastanawiał się, czy jego prawdziwy problem nie tkwi w szarych komórkach nad brwiami. Z doświadczenia wiedział, że głównie kobiety wpadają w neurozę na punkcie swojej wagi, ale zdarza się to również mężczyznom.

– No dobrze, sprawdzimy. Chodź.

Zaprowadził Scotta do gabinetu z regałami pełnymi książek. Na jednej ścianie wisiała oprawiona tablica anatomiczna, a na drugiej rząd dyplomów. Scott zagapił się na przycisk do papieru pomiędzy komputerem a drukarką. Bob podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i zaśmiał się. Wziął czaszkę z biurka i rzucił Scottowi.

– To plastik, nie kość, więc nie bój się, że upuścisz. Prezent od mojego najstarszego wnuka. Ma trzynaście lat, co nazywam Wiekiem Niegustownych Prezentów. Podejdź tu i zobaczmy, co my tu mamy.

W kącie stała wysoka mechaniczna waga z dwoma odważnikami, dużym i małym, przesuwanymi po stalowych belkach. Ellis poklepał ją.

– Kiedy zamknąłem gabinet w mieście, zatrzymałem

sobie tylko tablicę anatomiczną i to. To jest seca, najlepsza lekarska waga wszech czasów. Prezent od żony sprzed wielu lat i możesz mi wierzyć, że nikt nigdy nie oskarżył jej o brak gustu. Myra nie kupuje byle czego.

– Ta waga jest dokładna?

– Powiedzmy, że gdybym na niej zważył dziesięciokilowy worek mąki, a pokazałaby dziewięć i pół, wróciłbym do sklepu i zażądał zwrotu pieniędzy. Musisz zdjąć buty, jeśli chcesz mieć dokładny wynik. I po co przyniosłeś ze sobą kurtkę?

– Zobaczysz.

Scott nie tylko nie zdjął butów, ale przy akompaniamencie pobrzękiwania w kieszeniach włożył parkę. Teraz, całkowicie ubrany, i to o wiele za ciepło na taką pogodę, wszedł na wagę.

– No to dawaj.

Z powodu butów i kurtki Bob przesunął odważnik prawie do końca, na sto piętnaście kilogramów, po czym go cofał, najpierw przesunął, potem popychał. Wskaźnik skali opierał się na podstawie przy stu ośmiu kilogramach, stu pięciu i stu, co doktor Bob uznałby za niemożliwe. Mniejsza o kurtkę i buty, Scott Carey po prostu wydawał się cięższy. Doktor mógł się pomylić w ocenie o parę kilogramów, ale ważył zbyt wielu otyłych pacjentów, żeby aż tak spudłować.

Języczek wagi zabalansował przy dziewięćdziesięciu sześciu kilogramach.

– A niech mnie drzwi ścisną! – zawołał doktor Bob. – Muszę ją dać do przekalibrowania.

– Niekoniecznie – powiedział Scott. Zszedł z wagi i sięgnął do kieszeni kurtki. Z każdej wyciągnął garść ćwierćdolarówek. – Odkładałem je w zabytkowym nocniku od lat. Zanim Nora odeszła, był prawie pełny. Miałem w każdej kieszeni ze dwa kilogramy metalu, jeśli nie więcej.

Ellis milczał. Odebrało mu mowę.

– Teraz rozumiesz, dlaczego nie chciałem iść do doktora Adamsa? – Scott z następnym wesołym brzękiem wrzucił monety z powrotem do kieszeni kurtki.

Doktor Bob odzyskał głos.

– Dla pewności, czy dobrze zrozumiałem... w domu ważysz tyle samo?

– Co do grama. Mam wagę łazienkową Ozeri, może nie tak dobrą jak to cacko, ale sprawdzałem ją i jest dokładna. Teraz patrz. Zwykle lubię się rozbierać przy nastrojowej muzyce, ale skoro rozbieraliśmy się razem w klubowej szatni, jakoś się obejdę bez akompaniamentu.

Scott zdjął parkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Potem, podpierając się o biurko doktora Boba najpierw jedną ręką, potem drugą, ściągnął buty. Następnie poszła flanelowa koszula. Rozpiął pasek, zsunął dzinsy i został w bokserkach, skarpetkach i podkoszulku.

– Mogłem zdjąć z siebie wszystko, ale chyba tyle wystarczy dla demonstracji. Bo widzisz, właśnie to mnie

przestraszyło. Ta historia z ubraniami. Dlatego chciałem pogadać z przyjacielem, który umie trzymać głowę na kłódce, zamiast z moim lekarzem. – Scott wskazał ubrania i buty na podłodze, a potem parkę z obwisłymi kieszeniami. – Ile to wszystko może ważyć według ciebie?

– Z monetami? Co najmniej siedem kilo. Może osiem. Chcesz to zważyć?

– Nie – rzucił Scott.

Znowu wszedł na wagę. Nie trzeba było przesuwac odważników. Języczek wagi pokazał dziewięćdziesiąt sześć kilogramów.

Scott ubrał się i wrócili do salonu. Doktor Bob nalał im po kropelce woodford reserve i chociaż dopiero minęła dziesiąta rano, Scott nie odmówił. Wychylił swoją porcję jednym haustem i whisky rozpałała przyjemny płomień w jego żołądku. Ellis wziął dwa maleńkie łyżki, jakby oceniał jakość, po czym wlał w siebie resztę.

– To niemożliwe, wiesz – powiedział, stawiając pustą szklankę na podręcznym stoliku.

Scott kiwnął głową.

– Następny powód, żeby nie rozmawiać z doktorem Adamsem.

– Bo to by się znalazło w systemie – stwierdził Ellis. – Zarejestrowane. I rzeczywiście on by nalegał, żebyś zrobił badania, żeby ustalić, co dokładnie się z tobą dzieje.

Scott pomyślał, chociaż nie powiedział tego na głos, że określenie „nalegać” jest zbyt łagodne. W gabinecie lekarskim doktora Adamsa przyszedł mu do głowy zwrot: „wziąć pod kuratelę”. Dlatego postanowił trzymać język

za zębami i porozmawiać ze swoim zaprzyjaźnionym emerytowanym lekarzem.

– Wyglądasz na jakieś sto osiem kilo – ocenił Ellis. – Czy tak się czujesz?

– Nie całkiem. Czułem się trochę... hm... nadwagowy, kiedy naprawdę ważyłem sto osiem. Takie słowo chyba nie istnieje, ale lepiej nie umiem tego wyrazić.

– To dobre słowo, nawet jeśli go nie ma w słowniku – oświadczył Ellis.

– Nie chodziło tylko o nadwagę, chociaż wiedziałem, że przytyłem. To i wiek, i...

– Rozwód? – zapytał delikatnie Ellis w najlepszym stylu doktora Boba.

Scott westchnął.

– Jasne, to też. Rzucił cień na moje życie. Teraz już mi lepiej, czuję się lepiej, ale wciąż to przeżywam. Nie chcę kłamać. Chociaż fizycznie nigdy nie czułem się źle, ciągle ćwiczę trzy razy w tygodniu i dopiero w trzecim secie brak mi tchu, ale... no wiesz, czułem się nadwagowo. Teraz już nie, przynajmniej nie aż tak.

– Więcej energii.

Scott zastanowił się i pokręcił głową.

– Niezupełnie. Raczej tak, jakby energia, którą mam, mogła więcej działać.

– Żadnej apatii? Zmęczenia?

– Nie.

– Brak apetytu?

– Mógłbym zjeść konia z kopytami.
– Jeszcze jedno pytanie i... wybaczyć, ale muszę je zadać.
– Pytaj. O cokolwiek.
– To nie jest jakiś głupi żart? Żeby nabrać starego emerytowanego konowala?

– Absolutnie nie – zapewnił Scott. – Chyba nie muszę pytać, czy zetknąłeś się kiedyś z takim przypadkiem, ale może o czymś takim czytałeś?

Ellis pokręcił głową.

– Tak jak ty, ciągle się głowię nad tymi ubraniami. I monetami w kieszeniach twojej kurtki.

Witaj w klubie, pomyślał Scott.

– Nikt nie waży tyle samo nagi i ubrany. To równie pewne jak grawitacja.

– Czy możesz zajrzeć na jakieś medyczne strony i poszukać przypadków takich jak mój? Albo podobnych?

– Mogę i poszukam, ale od razu ci powiem, że nic nie znajdę. – Ellis zawahał się. – To nie tylko wykracza poza moje doświadczenie, powiedziałbym, że w ogóle wykracza poza ludzkie doświadczenie. Cholera, powiedziałbym, że to niemożliwe... to znaczy, jeśli twoja waga i moja pokazują prawidłowo, a nie mam powodu sądzić, że jest inaczej. Co się z tobą stało, Scott? Jaka jest geneza? Czy... sam nie wiem... zostałeś czymś napromieniony? Może nawąchałeś się jakiegoś przeterminowanego sprayu na owady? Pomyśl.

– Zastanawiałem się nad tym i o ile wiem, nic takie-

go się nie stało. Ale jedno jest pewne: lepiej się czuję, kiedy z tobą pogadałem. Zamiast dusić to w sobie.

Scott wstał i sięgnął po kurtkę.

– Dokąd idziesz? – spytał doktor Bob.

– Do domu. Popracować nad tymi witrynami. To świetna fucha. Chociaż muszę ci się przyznać, że już nie wydaje mi się taka świetna jak na początku.

Ellis odprowadził go do drzwi.

– Mówisz, że zauważyłeś stały spadek wagi. Powolny, ale stały.

– Zgadza się. Jakies pół kilograma dziennie.

– Niezależnie od tego, ile jesz.

– Tak – potwierdził Scott. – A jeśli to będzie trwało dalej?

– Nie będzie.

– Skąd wiesz? Skoro to wykracza poza ludzkie doświadczenie...

Na to doktor Bob nie miał odpowiedzi.

– Nie mów o tym nikomu, Bob. Proszę.

– Zgoda, jeśli obiecasz, że będziesz mnie informować na bieżąco. Martwię się.

– Tyle mogę obiecać.

Na ganku stanęli obok siebie i przez chwilę podziwiali widok. Dzień był piękny. Liście zieleniły się bujnie, a wzgórze płonęły barwami.

– Przechodząc od wzniosłości do śmieszności – odezwał się doktor Bob – jak sobie radzisz z tymi damami

z restauracji, które mieszkają na twojej ulicy? Słyszałem, że miałeś jakieś kłopoty.

Scott nie musiał pytać Ellisa, skąd o tym wie; Castle Rock było małym miasteczkiem i plotki szybko się rozchodziły. Pomyślał, że rozchodzą się jeszcze szybciej, kiedy żona emerytowanego doktora zasiada w najróżniejszych miejskich i kościelnych komitetach.

– Gdyby panna Donaldson i panna McComb usłyszały, że mówisz o nich „damy”, trafiłybyś na ich czarną listę. A biorąc pod uwagę mój obecny problem, nawet o nich nie myślę.